

Odjazd i wciągnięcie



JULIUSZ TYSZKA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany, Teatrológ, kulturoznawca, performatyk, kierownik Zakładu Performatyki Instytutu Kulturoznawstwa UAM. Autor, redaktor, współredaktor książek z zakresu historii teatru i teatru współczesnego, twórca wielu artykułów opublikowanych w Polsce (m.in. w „Teatrze” i „Dialogu”), a także za granicą.

Lubię to! 4

A A A



Carrolla zna każdy... poniekąd... A ki pewien, czy nawet kty z młodzieżą w wieku wszelakim nauczyły mnie pokory i od paru dobrych lat waham się w takich wypadkach przed użyciem kwantifikatora ogólnego.

W każdym razie (wracając do przysłowiowego „adremu”) to pomnikowe dzieło znane jest (ujmijmy to ostrożnie) wielu osobom. Znamy też jego rozliczne adaptacje, przede wszystkim filmowe, na czele z najostatniejszym, niesamowitym obrazem Tima Burtona (2010) z Johnym Deppem w roli Szalonego Kapelusznika. Zatem gdy dowiadujemy się o kolejnym podejściu do teatralnej adaptacji onirycznej powieści matematyka Charlesa L. Dodgsona (Carroll to tylko pseudonim literacki), ogarniają nas „bóle na wąpłach” i zadajemy sobie nieuchronne pytanie, czy aby autor/ka teje adaptacji udźwignie ciężar literackiej klasy tego nieokiełznanego, a zarazem niesamowicie, matematycznie wręcz precyzyjnego wybuchu imaginacji. A gdy dowiadujemy się ponadto, że osobą tą jest debiutantka w reżyserskim fachu (owszem, doświadczona scenografka i reżyserka światła, ale czy to wystarczy na dzieło Carrolla?), no i że owoc jej kreatywnych wysiłków zatytułowany *Alicja. Pod żadnym pozorem nie idź tam* podziwiać będzie można w Gnieźnie, wąpłają nam się we znaki prawie tak dokuczliwie, jak korzonki lub kamienie nerkowe. A gdy jeszcze dochodzi do naszej świadomości, że literackim adaptatorem wiktoriańskiego dzieła jest wysoce zaangażowany młodzieniec-literat, autor m.in. *Śmierci pracownika*, ból osiąga apogeum dorównujące... No nie, nie będę już namnażał drolerycznych „horrendumów” – i tak wszyscy jesteśmy wczesnoletniozbołali (całe szczęście, że na ogół to zboleń naznaczone jest zmęczoną sennością).

Senność ta jednak mija na widowni Teatru im. Fredry w Gnieźnie po zasięciu w fotelu i po zmysłowym doświadczeniu kilku już minut tego widowiska. Obucjemy bowiem tutaj z czymś, co w teatrze zdarza się rzadko, a mianowicie z precyzyjnie zaplanowanym i zrealizowanym totalnym chaosem wydarzeń, które układają się w „sen wariata na scenie” – z lekka witkacowski, ciut buñuelowaty, wciągający i niepozwalający na żadne zmęczone drzemki. Jest wszystko, co w teatralnej adaptacji dzieła Carrolla być powinno: skoki, płasy, dąsy, grymasy i wygibasy – wszystko to jednak stosowane jest z umiarem i po coś, a nie po chamsku, na odlew, dla przysłowiowych „jaj”, „bo ma być onirycznie i pokracznie”. Trudno jest zracjonalizować ten cały przebogaty sceniczny bałagan i wyciągnąć z niego jakieś konkretne, spójne, poukładane wątki fabularne, kompozycyjne zasady czy umoralniające przesłanie, ale czy po przywołaniu tu dwukrotnie Witkacym, dadaistach i surrealistach (działali mniej więcej sto lat temu), Bobie Wilsonie, Richardzie Foremanie i *Frankensteinie* The Living Theatre (mniej więcej pół wieku temu) warto w ogóle rozpatrywać możliwość przekształcenia takich obserwacji w zarzuty?

W dodatku literacka adaptacja skrzy się dowcipem, przywołuje cały szereg dzisiejszych, z reguły młodzieżowo-youtuberskich motywów (gdyby nie wypowiedź mojego nastolatka i obejrzyany na YouTube filmik, do dziś głowiłbym się, co to takiego „kołczan prawidłowości”), i obrabia pierwowzór, owszem, z pełnym szacunkiem, ale całkowicie w duchu naszej dzisiejszej „wərbosfery”. Nie jest przeladowana, nie jest infantylna, nie naprowadza nas również na jakieś pachnące dydaktyzmem tereny dzisiejszych ideowych polemik. A mogłaby – w końcu *Alicja w krainie czarów to evergreen*, a w dodatku „multifejs” i „multilejer”.

Scena jest niemal do proscenium ozdobiona kępami zielonej trawy, która – jak każe tekst – w pewnym momencie potrafi się zrobić nawet czerwona. Na trawie stoją (a potem walają się) ozdobne bladobeżowe krzesła, na których „dystyngowane” towarzystwo odbywa swoje „fajfokłoki”. (To podczas ostatniego z nich padają odwołania do „kołczanu prawidłowości”, a także do czechowskiej strzelby, która tutaj ani się nie pojawia, ani – tym bardziej – nie wypala).

W tle mamy brudną ścianę z drzwiami, które ani razu się nie otwierają (Czechow przewraca się w grobie!) oraz górną część scenicznego tła, które rozświetla się rozmaitymi kolorami wedle uznania inscenizatorki, wedle panującego na scenie nastroju, wedle naszych widzowskich wizualnych upodobań (albo i wbrew nim). Tak wygląda teren senno-majakowatych popisów jedenaściora aktorów i piętnaściora scenicznych postaci, w które ta niefrasobliwa jedenastka się wciela.

Warto się też zatrzymać choćby przez chwilę nad przefiltrowanymi już z lekka po upływie kilku dni wrażeniami z aktorskich etud, które są wisienką na torcie w tej wysublimowanej dawce wczesnoletniego oniryzmu.

Oto Maciej Hązła jako Gąsienica wydusza z siebie nic nieznaczący, potoczny potok słów, z których po dłuższej chwili możemy dopiero wysnuć treść: to nieśmiała, zawikłana do bólu, pokrętna niczym skręt kiszek zachęta do wspólnego spędzenia czasu (a być może potem do czegoś więcej, ale to już Hązła-Gąsienicy nie przejdzie przez gardło – możemy się tego li tylko spolegliwie domyślać). Spolegliwie, bo jakoś pokrętnie, ale szczerze lubimy tego werbalnego pokrakę, no a przy okazji także aktora, który doprowadza tu do mistrzowskiego poziomu „zdystansowany realizm” nakierowany ku grotesce, samoswój, wymykający się wszelkim akademickim kategoryzacjom typu „brechtologia” lub „stanisławszczyzna”.

Oto Wojciech Kalinowski jako Kapelusznik – przemierzający scenę w posuwistym kroczo-tańcu, którego rytm narzuca wszystkim pozostałym sunącym za nim postaciom; albo pokracznie wykrzykiujący swą i tak już wymiętą fizjonomię w seriach tików, gdy ma okazję coś powiedzieć, stojąc lub siedząc twarzą do widowni. „A imię jego Wyrzniętość” – chciałoby się krzyknąć w stylu proroczym, wieszcząc mu wiele jeszcze sukcesów na polu aktorstwa charakterystycznego i charakternego.

Oto Bogdan Ferenc jako Walet Trefl lub As Kier lub w ostateczności błotka – Piątka Kier: po kamerdynersku napięty i wypięty, elegancko wypucowany, z twarzą lokajsko powściągliwą, bacznie obserwujący poczynania lepszego towarzystwa, zawsze zachowujący formę, niczym słynny Antoni – lokaj Radziwiłłów z Nieborowa, który potrafił zachować kamienną twarz nawet w obliczu skierowanych przeciw *savoir vivre*’owi ekscesów powojennych ludowych ministrów, którzy chętnie zaglądali do upaństwowionego Nieborowa, by pogrzyżać się w wariacjach na temat przedwojennego pańskiego życia. Ferencowi bardzo jest do twarzy także z autoironią, zwłaszcza wtedy, gdy po swojemu, w sposób ekstremalnie „dystyngowany”, z dumą przyznaje, że jest tu tylko halabardnikiem. Wykrzyknę zatem: „Takich halabardników nam trzeba!”.

No i Alicja – Rozalia Mierzicka, ubrana w obszerną białą suknię, przyozdobioną dziesiątkami białych róż. Jest nieodłączną częścią zwariowanego świata rodem z otchłani, która rozciągnęła się przed nią po skoku w głąb króliczej nory. Nie jest ani po dziecinnemu zdumiona, ani speszona poczynaniami otaczających ją indywiduów – bardzo (wręcz zasadniczo) pokręconych. Nic zatem dziwnego, że pod koniec spektaklu zrzuca nagle z siebie białą (jakby trochę ślubną?) suknię, pod którą kryje się kolejna suknia – tym razem czarna, wieczorowa, z kuszącymi wcięciami w pasie. I w tej postaci Alicja-Mierzicka zasiada w pierwszemu rzędzie widowni, już do samego końca stamtąd właśnie obserwując sceniczne poczynania koleżanek i kolegów. Skoro jej inicjacja rodem z podziemi lub z drugiej strony lustra nie była ani trochę naznaczona dziecinnością, a treść jej snów nie była wcale niewinna, może bez obaw zasiąść wśród nas, obserwując ciąg dalszy swych onirycznych wizji zza bariery scenicznej rampy, ramy i konwencji.

I co? I bólu na wąpłach już dawno nie ma! Zniknął po paru minutach spektaklu, gdy nastąpiło emocjonalne, wysoce pozytywne „wciągnięcie” widzów do świata z głębin króliczej nory. Okazało się przy tym, że Justyna Łagowska jest reżyserką pełną gębą i może spokojnie realizować swoje własne inscenizacje (może pokusi się wręcz kiedyś o swój autonomiczny, autorski teatr plastycznej wizji – w końcu chyba nie bez przyczyny drugim tekstem w programie *Alicji*... jest fragment szkicu Katarzyny Tokarskiej o „teatrze plastycznym”); że Michał Kmiecik to nie tylko twórca zaangażowany, ale i wysokiej klasy dramaturg-adaptator, że Robert Piernikowski potrafi świetnie wkomponować swą muzykę w odjazdowo-onirycznie-młodzieżową atmosferę widowiska Łagowskiej, że gnieźnieńscy aktorzy i aktorki potrafią swobodnie udźwignąć kolejną zaproponowaną im konwencję gry, rozwijając konsekwentnie swój potencjał... I że Teatr im. Fredry ma wzorcową wręcz precyzyjną teatralną dla młodzieży – wyczyn w Polsce prawie-że-nieprawdopodobny!

A na sam koniec, kiedy już ucichły oklaski, kiedy aktorzy zniknęli ze sceny, kiedy pustoszała sala, stwierdziłem, że warto sobie teraz właśnie, na początku lata, po sezonie uświadomić, iż dokładnie **wszystkie** gnieźnieńskie premiery mijającego sezonu utrzymały wysoki poziom artystyczny! Nie było żadnego gniotu, żadnej skuchy, żadnej obsuwy, a zdarzyło się za to wiele ciekawych odkryć repertuarowych, wiele wzruszeń, refleksji, wiele pozytywnych wrażeń – warto ten prosty fakt po prostu odnotować, a komu trzeba – pogratulować.

15-07-2015

Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie
Michał Kmiecik
Alicja. Pod żadnym pozorem nie idź tam
inspirowany powieścią Lewisa Carrolla
reżyseria i scenografia: Justyna Łagowska
muzyka: Robert Piernikowski
obsada: Katarzyna Kalinowska, Rozalia Mierzicka (gościnnie), Dominika Lichy (gościnnie), Michalina Rodak, Iwona Sapa, Paweł Dobeł, Bogdan Ferenc, Maciej Hązła, Wojciech Kalinowski,
Wojciech Siedlecki
premiery: 27.06.2015

TAGI: Justyna Łagowska, Michał Kmiecik, Lewis Carroll, Robert Piernikowski, Gniezno, Teatr im. Aleksandra Fredry,

Udostępnij

Lubię to! 4

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę: 

KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY

Teatr im. Aleksandra Fredry

PRZECZYTAJ TEŻ

Juliusz Tyszka „Klient nasz per pan”

Piotr Dobrowolski Omęt

Juliusz Tyszka „Ciemność! Widzę ciemność!”

Piotr Dobrowolski Tańcz, póki możesz

Joanna Ostrowska Teatr pierwszego kontaktu

Łukasz Drewniak K/190: Zdania i uwagi. Raczej luźne.

KALENDARIUM

21 XI 2022 XLVIII Tyskie Spotkania Teatralne

03 XII 2022 Cykl "Bóg i proch" - część szósta

BĄDZ NA BIEŻĄCO

